

Siedem dni końca świata

DZIEŃ I

Wojnę przegrałam szybko. Matka wolnym krokiem przechadzała się po kuchni. Spojrzałam na nią i powiedziałam oziębłym tonem:

- Co z tego? I tak niedługo będzie koniec świata. Na te słowa odwróciła się ku mnie nerwowo i zaczęła uświadamiać mi, bezcelowość moich słów. Mówiła mi, że te wszystkie przepowiednie, począwszy od dziadkowej, skończywszy na Nostradamusie, to stek bzdur. Pocieszała mnie, abym nie bała się wojny USA z Irakiem, bo to do niczego nie prowadzi. Ale ja się bałam wojny, tej, którą mogła przegrać cała ludzkość.

- Byłam w kościele - odezwałam się - chcąc przygotować nas na śmierć. Wiedzą, że niedługo będzie koniec świata, dlatego nie chodzi im o jakieś szczególne manifestowanie wiary, ale apelują o nawrócenie.

Nic mi nie odpowiedziała, zatoczyła jeszcze dwa kółka między zlewem a lodówką, kiedy postanowiłam się oddalić.

Głupi strach przed śmiercią, zostawieniem po sobie tylu niedokończonych dzieł, nie posmakowanych 'cukierków'. Mówią: "w obliczu śmierci nie boimy się tego, co zrobiliśmy, a co pozostało do zrobienia". Głupi koniec cywilizacji, ludzkich serc.

DZIEŃ II

(ten pierwszy z dwóch pijanych)

Miałam powiedzieć mu, że go kocham. Zamiast tego zagłębiłam się z koleżankami w czeluściach baru. Choć nie miałam takiego zamiaru, zaczęłam widzieć wszystko przez mgłę. Toczący mnie ból w dole brzucha zaczął powoli ustępować miejsce wewnętrznej pustce. Tak ciężko, tak bardzo ciężko było mi zrobić cokolwiek z moim życiem, by wreszcie móc stać się szczęśliwym, nawet kosztem infantylności, człowiekiem. Stężenie alkoholu w moich żyłach powoli zaczęło wprowadzać mnie w stan skrajnego ośpienia, melancholii. Świat falował jak morze rozbijane dziobem mego drewnianego statku. Słowa utkwiły mi w gardle, dokładnie tam, gdzie z niewidzialnych blizn niektórych ludzi rodzi się krzyk.

Układałam sobie w głowie treść przemowy. Uważałam, żeby nie powiedzieć za mało, aby przekazać wszystko to, co wzrastało w miękkiej ścianie macicy mego serca. Chciałam zdążyć na czas. Móc spokojnie spać. Wreszcie' dogonić własne szczęście.

Obudziłam się dopiero późnym wieczorem i powędrowałam ku szklance wody.

DZIEŃ III

Fatalne ludzkie miasta- jechałam samochodem. Domy wyglądały jak szare cysty z pasożytami rozsiane po okrągłej twarzy Ziemi. Kłócący się ze sobą homo sapiens, wspaniałe osiągnięcie Stwórcy grzebiące w błocie za krótką chwilą radości. Obiecałam sobie nie nienawidzić. Cały dramat- za bardzo kochać ludzi, nadto im współczuć. Rodzące się rozdarcie i tak dyspersyjnej już duszy. Jeszcze nigdy białe nie było tak czarne.

DZIEŃ IV

Śnił mi się Jezus - samotne ciało wiszące na szczycie Golgoty. Lejąca, zimna ciemność obmywająca krzyż, zwieszona głowa.

Po południu przyszła do mnie Weronika i zaczęła opowiadać o tym, jaką śliczną bluzkę widziała, jaką drogą i modną szminkę kupił jej chłopak. Narzekała na starą sąsiadkę, którą córka zamyka za ogrodzeniem w ogrodzie koło domu. Babcia gada sama do siebie i zaczepia Weronikę, kiedy ta przechodzi obok niej.

- Ja wolałabym umrzeć. Nie chciałabym nigdy być taka- wyznała. Siedziała naprzeciw mnie, a Śmierć stała tuż obok, zwieszając na nas swój lodowaty wzrok. Na ścianie nad drzwiami wisiał Jezus, ciągle jeszcze samotny, ciągle na krzyżu.

Wieczorem zeszłam do kuchni i zaczęłam robić jakąś prostą, lekko kaloryczną kolację. Usłyszałam z pokoju głos ojca:

- Jak robisz, to zrób mi też herbatę kochanie.

Zanurzyłam torebkę we wrzątku. Przeźroczysta toń zmieniała barwę na brązową. Nagle zaczęła pachnieć. Małeńkie kuleczki materii zaczęły się ze sobą mieszać, całkowicie zmieniając pierwotną strukturę płynu. Ale tacie smakowało.

DZIEŃ V

Dzisiejszy dzień zaczął się dość nerwowo. Na zewnątrz było jeszcze ciemno - słońce nie mogło przebić się przez izolacyjną warstwę chmur. Nikłym promieniom udało się wydostać i cały krajobraz niczym scena apokaliptycznego dramatu, tylko gdzieś oświetlony był małymi strózkami światła. Mimo to i tak było szaro, przygnębiająco. To był jeden z tych dni, które nie zachęcają do otwarcia oczu i wstania z łóżka, a jednak wszyscy ludzie budzą się niezależnie od rodzaju poranku, jakby kontrolowani niewykańczalną chęcią życia. Uwięzieni w swej powłoce i w pooranym niechceniem pragnieniu ciągłego egzystowania.

Ja także się obudziłam. Według słów 'pierwszej planety': "Przedstawienie musi trwać."

Dziwna obawa towarzyszyła mi na każdym kroku. Jakby miał się dokonać niepohamowany gniew Boga, który już tak wiele razy wybaczał. Dziś nie miał powodu, by ulitować się i jeszcze raz odwlec koniec świata. A jednak dotrwaliśmy do zmierzchu.

DZIEŃ VI

(ten ostatni pijany)

Było wspaniale. Biegaliśmy po łące zbierając takie małe, pierwsze wiosenne kwiatki i rzucając je sobie na głowy śmialiśmy się jak dzieci. Chwyciliśmy się za ręce i wirując przez chwilę upadliśmy na świeżą trawę. Ziemia była jeszcze wilgotna, gdzieś w jej głębi pozostawał niezniszczalny ślad zimy. Położyłam głowę na jego ramieniu, spoglądaliśmy w niebo. On jak zawsze... zasnął.

Rozchyliwszy powieki poskładałam z bezładnych plam pełen obraz. Wstałam i otrzepałam się z resztek liści na swetrze i spodniach. Wróciłam do domu - pozostała pusta butelka.

Nie mogłam stłumić wrzasku swych rozszarpywanych moralów. Siedziałam sama w swoim pokoju. Patrzyłam na przeciwną ścianę starając się poukładać wszystkie elementy układanki naszego globu. A wszystko jak na złość pozostawało odległe; kiedy robiłam krok naprzód, oddalało się o dwa metry. Przelewałam cierpkie krople deszczu ze szklanki do porcelanowego kubka, a one nie chciały ostygnąć. Za oknem świat zdawał się marszczyć i naciągać jak kawałek materiału na wietrze, i ciągle jeszcze trwał. Krople potu, może łez, ściekały mi po szyi, a przepełniona dusza zgrzytała niczym zamurowany wodospad. Tama musi puścić...

DZIEŃ VII

Umarłam...